

[HISTORIA]

Gorący styczeń

Przekraczając 50 lat temu bramę strajkującej Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, Edward Gierek zrobił najważniejszy krok w swojej politycznej karierze.

MICHAŁ SIEDZIAKO



Edward Gierek przemawia w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, 24 stycznia 1971 r.

Po tragicznych wydarzeniach Grudnia '70 i zmianie w fotelu I sekretarza KC PZPR sytuacja w Polsce tylko na pozór uległa uspokojeniu. Zastąpienie Władysława Gomułki przez Edwarda Gierka nie od razu przyniosło odprężenie, z którym dziś często kojarzy się pierwsze lata jego rządów. Zwłaszcza na Wybrzeżu, gdzie grudniowe protesty pochłonęły najwięcej ofiar, utrzymywały się społeczne niezadowolenie i stan napięcia.

„Jak mogło dojść do tego, że władza ludowa stanęła przeciw klasie robotniczej, a klasa robotnicza przeciw swojej władzy?” – brzmiało pytanie podnoszone w pierwszych dniach nowego roku na urządzanych w różnych szczecińskich

zakładach pracy otwartych zebraniach partyjnych. Nie przypominały one nudnych, wyreżyserowanych narad, do których przez minione lata wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. Zgłaszano setki postulatów, dyskusje z partyjnymi lektorami nierzadko przeradzały się w awantury.

Beczka prochu

Nastroje podgrzewał fakt, że do 11 stycznia wojewódzką organizacją partyjną kierował Antoni Walaszek, którego postawa w dniach grudniowego protestu znacząco przyczyniła się do eskalacji konfliktu. Zapamiętano mu zwłaszcza to, że przybyłej do KW PZPR delegacji robotniczej powiedział, iż „z motłochem rozmawiać nie będzie”. Później wraz z najbliższymi

współpracownikami ewakuował się przez okna na tyłach budynku.

Od początku stycznia 1971 r. sytuacja w Szczecinie przypominała beczkę prochu. Grudniowy strajk generalny nie został zresztą formalnie zakończony, a jedynie zawieszony. Zdaniem uczestników późniejszych wydarzeń były one kontynuacją tego samego protestu. Iskłą, która doprowadziła do ponownego wybuchu, stało się natomiast... zobowiązanie produkcyjne podjęte jako wyraz poparcia dla nowych władz partyjno-państwowych na Wydziale Montażu Rurociągów Okrętowych „Warskiego”. Sęk w tym, że nie podjęli go pracownicy. Zrobiła to za nich kadra kierownicza. Sami zainteresowani dowiedzieli się, jak



Grudzień 1970 r. w Szczecinie. Od lewej: strajk okupacyjny w stoczni. Spalony budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Czołgi na ulicach miasta.

ochoczo popierają nowe kierownictwo, z mediów. Na łamach POLITYKI komentowano później: „Być może, że w innej atmosferze, w innych warunkach incydent z zobowiązaniami Rurowni Stoczni Szczecińskiej przeszedłby niezauważony albo najwyżej wywołał uczucie niesmaku wśród stoczniowców. Stało się inaczej, dlatego właśnie, iż robotnicy w owych dniach wyjątkowo uczuleni byli na wszystko, co było nawet nieważnym, nawet drobnym przykładem starego stylu rządzenia, starego stylu traktowania klasy robotniczej nie jako partnera, ale jako masy, którą można dowolnie sterować”.

Medialny przekaz sprawił, że pracownicy, którzy rzekomo podjęli zobowiązania, stali się obiektem kpin i pretensji kolegów. Późniejszy przywódca strajku Edmund Bałuka relacjonował po latach: „Takiego upokorzenia nie mogliśmy wytrzymać. Koledzy poszli do rurowni: »Jakie wy tu sk...syny zobowiązania podejmujecie!«. Tamci: »Nic nie podejmowaliśmy!«. Inni zaczęli krzyczeć: »Spalmy redakcję »Głosu« [organ prasowy miejscowego KW PZPR – przyp. M.S.] i telewizję! Powiedziałem im: »Komitet i milicję już spaliliśmy. I co z tego? Przecież oni odbudują to wszystko za nasze pieniądze«”.

Hasło do strajku

Słów kilka o samym Bałuce, którego działania wywarły znaczący wpływ na wydarzenia kolejnych dni. Urodzony w 1933 r. należał do średniego pokolenia szczecińskich stoczniowców i miał już za sobą barwną przeszłość. Były w niej m.in. rejsy dalekomorskie i próba ucieczki na Zachód przez zieloną granicę w połowie lat 50., co peerelowski sąd wycenił na 14 miesięcy pracy w kopalni i kamieniołomach. Miał też na koncie odsiadkę za pobicie milicjanta. Do Stoczni Szczecińskiej trafił w 1957 r. Pracował na różnych stanowiskach: dźwigowego, montażysty wind, konserwatora kadłubów. Latem 1970 r., kiedy jako mistrz poparł

grupę swoich podwładnych, którzy zażądali wyższych płac, został karnie zesłany do magazynu farb. Brał udział w strajku grudniowym, na ostatnim etapie został dokooptowany do komitetu strajkowego.

Bałuka znalazł się we właściwym miejscu 22 stycznia 1971 r. Tego dnia w trakcie przerwy śniadaniowej grupa wściekłych pracowników rurowni zjawiła się pod budynkiem dyrekcji „Warskiego”. Szybko zaczęli dołączać do nich pracownicy innych wydziałów, tłum rósł. „Z obawy przed powtórzeniem się walk ulicznych – relacjonował przebieg wydarzeń na łamach paryskiej „Kultury” Bolesław Sulik – ktoś z administracji zamyka główną bramę. Na terenie zakładu rozpoczyna się spontaniczny, burzliwy wiec. Z dachów szop i budynków kilku mówców jednocześnie wykrzykuje swoje racje. Na płaskim dachu kiosku żywnościowego, tuż ponad napierającym na bramę tłumem, staje Bałuka, Ulfik, Tokarski i paru innych stoczniowców. Wołając przez tubę naprędce zwiniętą z forszpanu, Bałuka pierwszy rzuca hasło strajku okupacyjnego aż do przyjazdu na rozmowy ze strajkującymi najwyższych władz partyjnych i państwowych”.

Sytuację udało się opanować (choć nie z punktu widzenia władz). Robotnicy wrócili do swoich hal i magazynów, wybrali „piątki” strajkowe. Każdy wydział wydelegował również po jednym przedstawicieli do komitetu strajkowego, na którego czele stanął Bałuka. Strajk miał wzorcową organizację. Liderzy podzielili się między sobą obowiązkami, aby informować załogę o swoich poczynaniach, przejęli zakładowy radiowęzeł. Powołano straż robotniczą, która dbała o bezpieczeństwo. Komitet strajkowy miał doradców: Franciszka Wilanowskiego – elektryka obeznanego w kwestiach prawnych, i stoczniowego socjologa Lucjana Adamczuka.

„Trzy dni strajku – charakteryzował go Sulik – były jednym ciągiem zebrań i narad. Czterdziestoosobowy Komitet

pozostawał w prawie stałej sesji (...). »Piątki« strajkowe krążyły nieustannie pomiędzy Komitetem a swoimi wydziałami, zwołując zebrania wydziałowe, przedstawiając im propozycje Komitetu i przekazując poglądy kolegów z powrotem Komitetowi. (...) Ta oszałamiająca trzydniowa eksplozja demokracji tym bardziej jest imponująca, że miała miejsce w warunkach ogromnego zagrożenia”.

Strach

Stoczniowcy mieli prawo się bać. Nad otoczoną przez milicję stocznia krążyły helikoptery, z których zrzucono antystrajkowe ulotki. W przystocznionych kanałach pojawiły się jednostki pływające z uzbrojonymi milicjantami na pokładach. Z rozstawionych przy ogrodzeniach zakładu gigantofonów wzywano do zaprzestania akcji strajkowej i grożono jej uczestnikom konsekwencjami. W pewnym momencie wyłączono nawet dopływ energii do przedsiębiorstwa. Przywrócono go, kiedy okazało się, że bez prądu nie działa przepompownia pary w kotłowni, co groziło wybuchem. Jak ocenił historyk Eryk Krasucki, „wszelkie działania lokalnego aparatu partyjnego nastawione były na konfrontację”. Na nastroje wśród strajkujących mocno rzutowała wciąż świeża pamięć o wydarzeniach sprzed kilku tygodni. „Wielka siła, która tłoczyła na mózg – wspominał jeden z uczestników strajku, Marian Juszcuk – to ta śmierć ludzi. Baliśmy się czołgów, czekaliśmy, że ktoś przyjdzie z nahajem”.

O dynamice sytuacji wewnątrz stoczni dobitnie świadczy fakt, że w tym krótkim czasie aż pięciokrotnie aktualizowano listę postulatów strajkowych. Otwierała ją postulat cofnięcia grudniowej podwyżki cen, po czym żądano przeprowadzenia wyborów do zakładowych instancji partyjnych, związkowych, organizacji młodzieżowych i samorządu robotniczego. Nie zabrakło postulatu sprostowania ►

► w mediach wiadomości o „lipnych” zobowiązaniach rurowi i wyciągnięciu konsekwencji w stosunku do autorów zmanipulowanych doniesień. Domagało się również gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących.

Lokalne władze wyszły z założenia, że strajk jest wybrykiem grupy awanturników. Sekretarz ds. organizacyjnych miejscowego KW Jerzy Ostrzyżek tłumaczył przedstawicielom KC PZPR, że w stoczni działają „elementy warcholskie i nieodpowiedzialne, których hasłem jest »Precz z preczem, niech żyje precz«, a więc elementy anarchistyczno-ekstremistyczne”. Wobec takiego przekazu, płynącego ze Szczecina do Warszawy, sięgnięcie przez władze do rozwiązania siłowego stawało się coraz bardziej realne.

Wizyta u premiera

Tymczasem uczestnicy strajku w „Warskim” postanowili dać odpór propagandowemu przesłaniu o ich proteście. Celowi temu miał przysłużyć się list otwarty do samego Gierka, datowany na 23 stycznia. „Żałoga Stoczni Szczecińskiej – deklarowano w nim – była zawsze i jest za socjalizmem i przeciw jego wrogom. Jesteśmy też za odnową życia politycznego, społecznego i gospodarczego – którą konsekwentnie wciela w życie tow. E. Gierek i tow. P. Jaroszewicz – udzielamy im pełnego poparcia”. Wyjaśniano rzeczywiste podłoże strajku i wyrażano nadzieję na pozytywną reakcję przywódcy. To jednak nie ów list, jak się niekiedy mylnie sądzi, skłonił najwyższe władze partyjno-rządowe do przyjazdu do Szczecina. Dokument został zredagowany późnym wieczorem, przyjęty przez strajkujących dopiero 24 stycznia rano. A decyzja o wyjeździe partyjnej wierzchozki na Pomorze Zachodnie zapadła na popołudniowym posiedzeniu Sekretariatu KC PZPR dzień wcześniej. Zaplanowano wówczas, że dygnitarze spotkają się z przedstawicielami stoczniowych wydziałów, nie ze strajkującymi. Chodziło o spotkanie z wyselekcjonowanym aktywnym, podobne do tego, które odbyło się dzień później w Stoczni Gdańskiej. O tym, że w Szczecinie stało się inaczej, zdecydowała najpewniej misja Lidii Więckowskiej.

Więckowska, szczecińska korespondentka „Trybuny Ludu”, była w strajkującej stoczni i miała rozeznanie w sytuacji. W sobotę, 23 stycznia zatelefonowano do niej z warszawskiej redakcji z prośbą o przyjazd. Nazajutrz rano dziennikarka dotarła do stolicy. Na miejscu okazało się, że osobą, której najbardziej zależało

na przyjeździe Więckowskiej, była jej redakcyjna koleżanka Alicja Solska, prywatnie żona Piotra Jaroszewicza. Pospieszenie zabrała Więckowską do Urzędu Rady Ministrów na nieoczekiwane spotkanie z premierem.

„Muszę powiedzieć – relacjonował po latach Jaroszewicz – że informacje, jakie dopływały do nas zarówno od władz partyjnych Szczecina, jak i z resortu spraw wewnętrznych, były tego rodzaju, że właściwie odradzano nam pojawienie się w stoczni, bo miałyby to grozić naszemu bezpieczeństwu, a nawet życiu. Stocznia zresztą od dwóch dni otoczona była kordonem milicji, nie przepuszczającej nikogo ani na zewnątrz, ani do środka. (...) Dziś sądzę, że chodziło o dalsze zaognienie sytuacji i praktyczne uniemożliwienie nam podjęcia bezpośrednich rozmów ze strajkującymi. Tak może stałoby się, gdyby nie światło, które Pani redaktor Więckowska rzuciła na całą sprawę”.

Jak robociarz z robociarzem

W takich okolicznościach późnym popołudniem 24 stycznia w ogarniętym strajkiem „Warskim” pojawiła się grupa oficjeli na czele z Gierkiem i Jaroszewiczem, którym towarzyszyli m.in. nowy szef MSW Franciszek Szlachcic oraz minister obrony narodowej, a jednocześnie poseł ziemi szczecińskiej gen. Wojciech Jaruzelski. Na miejscu musieli blisko dwie godziny czekać na spotkanie z komitetem strajkowym i przedstawicielami stoczniowej załogi. W tym czasie zupełnie zaskoczeni wizytą strajkujący dopracowywali ostateczną listę postulatów i ściągali delegatów poszczególnych wydziałów do świetlicy, w której miało się odbyć spotkanie.

Pamiętnemu spotkaniu mogli przysłuchiwać się wszyscy obecni na terenie stoczni, gdyż było ono transmitowane przez zakładowy radiowęzeł. Juszczuk relacjonował później: „staliśmy pod głośnikami i słuchaliśmy, kto ostrzej Gierkowi wyrąbie. Cieszyliśmy się, że nasz człowiek z wydziału tak dobrze mówi. I Gierek też dobrze mówił, podobał się nam”. Innemu stoczniowcowi, obecnemu wówczas w świetlicy Stanisławowi Serafinowi, szczególnie zapadło w pamięć łamanie się z przywódcą chlebem: „Jadł z nami ten chleb i pił wodę, którą mu przyniesiono w butelce, z kranu w toalecie. I mówił, krzyczał, żeby mu zaufać”.

Przebieg trwającej blisko dziewięć godzin debaty strajkujący po kryjomu utrwalili na taśmach magnetofonowych, które niebawem udało się przemycić na Zachód. Dzięki temu jej treść stała się w kolejnych latach znana zarówno

w Polsce (wbrew woli samych władz), jak i za granicą, choć kompletny stenogram opublikował dopiero kilka lat temu w Bibliotece „Więzi” historyk Michał Paziewski. Ducha tej dyskusji oddaje krótka wymiana zdań między Gierkiem i Jaroszewiczem a kowalem blach Henrykiem Jarczewskim. „Zanim coś powiem – zaczął Jarczewski – to chciałbym się zwrócić do naszych władz nadrzędnych z pytaniem: Czy można mówić szczerze, tak jak potwierdzili towarzysze Gierek i towarzysze Jaroszewicz. (...) E. Gierek: – Oczywiście. P. Jaroszewicz – O to chodzi. H. Jarczewski – Mamy gadać po robociarsku? E. Gierek – No jasne. P. Jaroszewicz – Po robociarsku”.

O tym, że partyjni przywódcy zawarli z robotnikami kompromis, zdecydowało w dużej mierze to, iż Gierek zaprezentował się jako jeden z nich. „Ja jestem tak samo jak wy robotnikiem” – przekonywał. W tej sytuacji udało mu się przekonać zgromadzonych, że odwołanie grudniowej podwyżki jest niemożliwe z przyczyn ekonomicznych (podwyżkę cofnięto miesiąc później pod naciskiem strajków w Łodzi). Jego wielkim sukcesem stało się przekonanie stoczniowców do zakończenia strajku. Osiągnięciem strajkujących było z kolei uzyskanie zgody na przeprowadzenie nowych wyborów do władz działających w zakładzie organizacji społeczno-politycznych. Znamienne natomiast, że słynne „Pomożecie?”, które szczególnie utrwaliło się w społecznej pamięci, w ogóle wówczas nie padło. Szef partii wypowiedział je dopiero nazajutrz w Gdańsku. Odpowiedzią nie było zresztą głośne „Pomożemy”, jak głosiła późniejsza propaganda, a tylko średnio entuzjastyczne oklaski.

Gierek obejmował władzę w okolicznościach pod wieloma względami podobnych do tych, w jakich stery PZPR trzymali Edward Ochab w 1956 r. i Stanisław Kania w latach 1980–81. Partia stawała w tych okresach w obliczu poważnych kryzysów, musiała uginać się pod naporem społecznych żądań, traciła kontrolę nad sytuacją w kraju. Obaj wspomniani pełnili swoje funkcje tylko przez kilka miesięcy, okazali się przywódcami tymczasowymi, gdyż nie byli w stanie ustabilizować tej nietypowej w systemie realnego socjalizmu sytuacji. Gierkowi w 1971 r. się to udało, a wizyta w Szczecinie była pierwszym, przełomowym krokiem w tym kierunku. Zapisał się tym samym w historii jako pierwszy komunistyczny przywódca, który odważył się przekroczyć bramy strajkującego zakładu i utorował sobie drogę do blisko dziesięcioletnich rządów.

MICHAŁ SIEDZIAKO

Autor jest pracownikiem Oddziału IPN w Szczecinie.